

MATYLDA SERAO

## UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA:  
MARYA TOCZYSKA

16

I.

Depesza była od Lambertini'ego z Neapolu. Oto jej treść:

„Odnalazłem Rachelę. Zaklinam cię na wszystko, wracaj natychmiast do Włoch. Odwołuję się do twojej braterskiej przyjaźni. Odpowiedz depeszą: Grand-Hotel, Neapol — oczekuję cię z upragnieniem.

Ranieri Lambertini”.

Depesza ta wprowadziła Roberta w wielkie zdumienie. Ta młoda dziewczyna, jak się zdawało, na zawsze stracona dla jego przyjaciela — odnajdywała się nagle, w chwili najmniej spodziewanej. I ta dziewczyna nosiła imię Racheli, tak jak córka kobiety, którą więził u siebie Markus Henner. Jeżeli więc ona była tą, za którą biedna Marya tęskniła lat tyle i którą straciła już nadzieję odzyskać? Ranieri wspominał mu przecież, że ukochaną jego prześladował człowiek o wielkiej mocy i poędze, taki sam, jaki prześladował jego, Roberta Alimena. Co za dziwny zbieg okoliczności. Czyż nie te same niebezpieczeństwa groziły im obydwóm — i Ranieremu i jemu. Markus Henner w nienawiści swojej chciał ich wciągnąć w jedną i tą samą zasadzkę i ugodził w nich obydwóch. Ranieri został śmiertelnie ranny, a on osadzony o morderstwo?

Taki chaos nagły zapanował w myśli Roberta, że kilkakrotnie zabierał się do wysłania odwrotnej depeszy do Neapolu, a nie mógł dojść do zredagowania choć kilku słów. Chciałby wytłumaczyć przyjacielowi, dlaczego natychmiast, pomimo jego nalegania, opuścić Londynu nie może, wyjaśnić, kto jest Markus Henner, donieść, że odnalazł Matkę Racheli, że może nawet tej nocy uda mu się ją porwać i przybyć z nią razem do Neapolu — ale słowa nie mogły wyrazić tego wszystkiego, więc darł jedną po drugiej, niecierpliwiając się coraz więcej.

Bo jeżeli Ranieri tych wiadomości, zawartych w kilku słowach, nie potrafił zrozumieć? Jeżeli Rachelę nie była córką Maryi? a Marya nie była tą kobietą, poszukiwaną przez niego, tylko obcą mu jakąś istotą, którą Markus Henner przeżył u siebie jako lekarz i hipnotyzer?

Wszystko to było przecież możliwe, bo tajemnica, jaką się czuł otoczony ze wszystkich stron, dotąd wyjaśnioną jeszcze nie została. I któż zaręczyć mógł, że wyjaśniona wogóle zostanie. Robert kilka godzin temu tak pełny najlepszych nadziei i wierzący w swoją dobrą gwiazdę — oświecony teraz został silnym uczuciem niepokoju i wątpliwości, a wiadomość, odebrana od przyjaciela, zamiast uspokoić go, wzbudziła go jeszcze silniej.

Jednakże należało koniecznie dać jakąś odpowiedź Ranieremu, tem bardziej, że depesza jego dwa dni bawiła w drodze. Po długich więc rozmyśleniach Robert napisał tych słów kilka:

„Hrabia Ranieri Lambertini, Grand-Hotel, Neapol. Jestem tutaj, depesza przybyła z opóźnieniem. Wiadomość zdziwiła mnie, lecz i ucieszyła ogromnie. Nie mogę powiedzieć, czy będę mógł wyjechać natychmiast. Decyzja zależy od bardzo ważnego faktu. Nie mogę więcej wyrazić w depeszy. Czekaj tej nocy drugiej depeszy i licz na mnie zawsze.

Robert Alimena”.

Robert wysłał bezzwłocznie tę depeszę do biura telegraficznego, lecz już w dziesięć minut później żałował, iż to uczynił. W podnieceniu, w jakim żył od pewnego czasu, wszyscy ludzie otaczający go, wydawali mu się podejrzeni, prawdopodobnymi współnikami Markusa Hennera — nawet personal hotelowy, jak i wszyscy urzędnicy na poczcie i ktokolwiek, kto był w styczności z nim samym.

Ale już teraz było za późno na rozważanie, skoro depesza wysłana została, Robert musiał więc zrezygnować, — pocieszając się tem, że odwaga i zuchwałość może być również użyteczne w takiej skomplikowanej sprawie, jak i ostrożność.

Druga kartka od Dicka Leslie doręczona została Robertowi około godziny ósmej wieczorem.

— Kochany panie — pisał detektyw — od ósmej godziny dziś wieczór, zamknięty powóz o dwóch koniach oczekiwać będzie na rogu

Chester Road — aż do godziny ósmej zrana. Stangret nazywa się Tom. Kiedy na słowo porozumienia: „Rachelę”, odpowie panu: „Marya”, może pan spokojnie ze swoją towarzyszką zająć miejsce w powozie. Powóz ten zawiezie pana prosto do Brighton, gdzie znajdzie pan konie do zmiany w „Hotelu Pocztowym”. Właściciel jest już uprzedzony. Stamtąd uda się pan drogą, którą pan sam wybierze aż do najbliższej stacji kolejowej. Radzę panu wybrać stację jakiegoś małego miasteczka, gdzie nikt podejrzawać nie będzie mógł, że się pan tam zatrzymał. Dołączam plan Broadway wraz z wybrzeżem, o ile zechce pan popłynąć yachtem i plan Chester Road, o ile się pan zdecyduje na podwóz powozem. Miejsce, gdzie ma oczekiwać powóz, jest oznaczone czerwonym krzyżykiem, krzyżyk niebieski na tym samym planie oznacza miejsce postoju yachtu. Proszę o dokładne zbadanie, bo od nieomyślnej znajomości położenia zależne może być wszystko, tem bardziej, że to zajęcie pomoże z pewnością do uspokojenia nerwów pana, które muszą być obecnie bardzo podrażnione. Przyjdź do pana o godzinie jedenastej. Do widzenia. Dick.

Badanie planu przysłanego przez detektywa, posłużyło rzeczywiście do uspokojenia Roberta, ale i równocześnie ostudziło cokolwiek jego energię. Przedsięwzięcie, któremu miał się poświęcić wkrótce, wydawało mu się obecnie tak dziwaczne i fantastyczne, że dziwił się samemu sobie, że miał odwagę przystąpić do niego. Teraz już jednak wszystko było zdecydowane. Za dwie godziny usłyszeć miał z ust ludzi oddanych Markusowi Hennerowi wyrok ostateczny, w którym ryzykował życie własne!

Alimena nie poznawał siebie. Jak się to stać mogło, że on, Robert Alimena, człowiek arystokraty włoskiej, człowiek niegdyś tak zimny i obojętny na wszystko — wdał się w tak skomplikowaną, tajemniczą i niebezpieczną awanturę?

Bo Robert nie ludził się, że najmniejszy drobny błąd mógł fatalnie wpłynąć na całe rozwiązanie tej miłosnej sprawy i spowodować jego śmierć jeszcze tej nocy, za godzin kilka! Jednakże pomimo oziebienia podniecenia dawnego Robert znalazł siłę potrzebną do zniesienia wszelkich konsekwencji tego przedsięwzięcia, w które się nieostrożnie zaangażował.

— Sam tego chciałem — wyrzekł w końcu spokojnie i zimno. — Niech się teraz dzieje, co chce!

Odpowiedział też wszystkie niepokojące myśli od siebie i po wyuczeniu się na pamięć planu Dicka, napisał jeszcze, uspokojony już i obojętny trzy krótkie listy. Jeden do Lambertini'ego do Grand Hotelu w Neapolu, drugi do swego notariusza w Melanie, a trzeci do sekretarza ambasady włoskiej w Londynie. Wszystkie te trzy listy zawierały w sobie ostateczne zlecenie człowieka sposobiącego się na śmierć. W liście do przyjaciela Robert zeznawał, że stał się ofiarą Markusa Hennera i że zginął w obronie Maryi, matki Racheli. Polecał mu pomścić śmierć swojej śmierci. Drugi zawierał krótki testament, w którym majątek swój cały zapisywał na cele dobroczynne rodzinnego majątku. W trzecim liście, pisanym do ambasady włoskiej, Robert wskazał Markusa Hennera i czynił go winnym swojej śmierci.

Listy te po zapieczętowaniu włożył do szuflady biurka, które pozostawił niezamkniętą.

Brakowało kilka minut do godziny jedenastej, kiedy zapukano do drzwi pokoju Roberta. Wszedł Dick Leslie. Detektyw obejrzał szybko spojrzeniem Alimena od stóp do głowy i na twarzy jego zjawił się błysk zdziwienia, lecz nie zdradzając swoich myśli, zaraz z progu zapytał spokojnie:

- Wszystko gotowe?
- Tak — odparł zimno Robert.
- A więc jedziemy?
- Jedziemy.

Obydwaj wyszli w milczeniu z pokoju, nie zamienili już przez drogę całą ani jednego słowa.

## Pod lazurówem niebem.

Tego roku zima była bardzo łagodna w Neapolu. Z końcem grudnia było kilka dni zimnych i wietrznych, lecz potem powietrze zmieniło się nagle i nastąpiły jasne, słoneczne i pogodnie dni.

Skorzystali z tej sprzyjającej temperatury cudzoziemcy, corocznie ściągający na sezon ten do Neapolu — i w tym roku również zjawili się,

lecz z tą różnicą, że o wiele wcześniej niż zazwyczaj i tłumnie. Najchętniej bowiem cudzoziemcy zjeżdżają do Neapolu w połowie lutego, aby tam pozostać do końca kwietnia. Teraz jednak, już z końcem grudnia hotele i pensjonaty zaroiły się tłumem gości różnorodnych. Spadli oni jak stado jaskółek na Neapol, i widać je było wszędzie, po ulicach, kawiarniach, restauracjach, przejeżdżających powozami na wycieczki i spacer. Całe miasto przybrało wygląd ożywiony i wesoły jak nigdy.

Ranieri Lambertini, wyczerpany fizycznie i moralnie, zniechęcony do życia, przybył również spędzić miesiąc w Neapolu dla ostatecznego odpoczynku, przed wyjazdem do Nicy, dokąd go wysyłali lekarze. Obawiali się oni o zdrowie Lambertini'ego, którego płuca zdradzały wielkie osłabienie, po wyleczeniu ich z rany otrzymanej w Rzymie.

Ranieri, choć chory jeszcze, przebył całe Włochy, wypytując wszystkich komisarzy policyjnych, konsulaty zagraniczne, rozmawiając z każdym, kto mógł mu dać jakieś informacje o Racheli Kabib. Dowiedział się w końcu od kogoś, lecz wiadomość ta nie była zbyt pewna, że młoda dziewczyna schroniła się do jakiegoś klasztoru i parę razy, w małych miasteczkach włoskich zdawało mu się, że wpadł na ślad swojej ukochanej. Lecz na tem się skończyło i obraz Racheli oddalał się coraz bardziej i stał się cieniem prawie nieuchwytnym. Ranieri nosił w sercu ranę stokręć boleśniejszą, niż ta, którą mu zadano sztylcelem. Zniknięcie Racheli Kabib wpłynęło bardzo ujemnie na umysł i stan moralny jego, wywołując w nim ogromne zniechęcenie do życia. Miłość, jaką odczuwał dla młodej dziewczyny i katastrofa, która przerwała nić wiążącą ją z nią, przygnębiła go boleśnie, wypłaszając z jego duszy wszelką nadzieję i radość. Bo przecież on już był tak bliskim tego wymarzonego szczęścia i nagle pogodna rzeczywistość rozwinęła się na zawsze, a na jej miejsce wystąpiła mara jakaś dręcząca i ponura. Przecież to o wiele więcej oddziaływało na zdrowie młodego człowieka, niż sam fakt, orzeczonny przez lekarzy, iż grozi mu piersiowa choroba, niewyleczalna może.

Nie czekając na większy powrót sił, Ranieri opuścił Rzym, bo chciał osobiście czynić dalsze poszukiwania, gdyż czuł, że zginie, jeżeli więcej nie ujrzy Racheli. Ale ta podróż wyczerpała go bardzo, tem więcej, że jak dotąd, żadnych dodatnich rezultatów z niej nie odniósł. W Rzymie lekarze znaleźli go tak osłabionym i wyczerpanym, że bezzwłocznie kazali mu dalszą podróż przerwać i pozostać kilka tygodni w Neapolu, a stamtąd na pobyt dalszy udać się do Cannes, albo Mentony. Ranieri przychylił się do ich rady prawie machinalnie, bo rozpacz jego i apatia wzrastała z dniem każdym, czyniąc go już człowiekiem biernym i bez woli.

Czuł, że bez Racheli żyć dalej nie będzie w stanie, a nadzieje jego wszystkie były prawie stracone i rozwiane. Były dni nawet takie, w których wyobrażał sobie, że młoda dziewczyna nie żyje.

Wyjechał więc do Neapolu bez niepokoju i nadziei, zdając się na łaskę losu, uczyniwszy to jedynie na prośby swojego starego wuja, którego kochał jak ojca. Zajeżdżał po przyjeździe do Grand-Hotelu, przy ulicy Caracciolo i pozostał tam zamknięty przez dni piętnaście, nie widując nikogo. Codziennie tylko wybierał się na dalekie przechadzki, szukając zetknięcia się z młodymi ludźmi z Neapolu, których miał niegdyś sposobność poznania w Rzymie.

Parę razy wybrał się na konną przejażdżkę, ale powrócił z niej wkrótce tak zmęczony, że postanowił odtąd unikać tej przyjemności.

Niegdyś, Ranieri Lambertini lubił bardzo wszelkie sporty i ćwiczenia na otwartem powietrzu — teraz usposobienie jego zmieniło się zupełnie. Stał się cichy, małomówny, zawsze zamysłony i smutny. Zajmował w Grand-Hotelu dwa bardzo jasne i ładnie umeblowane pokoje. Szczególnie sypialnia powinna być dobrze usposabiana do wesołych i pogodnych myśli, bo to była formalnie w powodzi światła i słotca. Ranieri też nie opuszczał jej prawie nigdy, siedząc godzinami całymi w głębokim fotelu, przy otwartych drzwiach, wychodzących na balkon, patrząc smutnie na cudowny pejzaż, który rozciągał się przed jego oczami.

(Dalszy ciąg nastąpi).